

HONORÉ DE BALZAC

PIERWSZE KROKI

Honoré de Balzac

Pierwsze kroki

«Public Domain»

de Balzac H.

Pierwsze kroki / H. de Balzac — «Public Domain»,

Wiadomo, jak uniwersalnym zjawiskiem jest nuda w podróży. Wiadomo też, jak powszechnie ludzie przeglądają się w sobie nawzajem, odczytują się wzajemnie (niekiedy fałszywie) i grają przed sobą improwizowane role. Pierwsze kroki Balzaka to niemal humoreska — wyrastająca z obserwacji tych zjawisk. Jednakże tło społeczne, zarysowane ręką mistrza z lekkością i swadą, nadaje temu obrazkowi obyczajowemu z pierwszej połowy XIX w. zaskakującą głębię.

Содержание

Od tłumacza	5
Pierwsze kroki	7
Конец ознакомительного фрагмента.	25

Honoré de Balzac

Pierwsze kroki

Od tłumacza

Mimo że *Pierwsze kroki* nie słyną jako jeden z najważniejszych utworów Balzaka, tyle jest w tym opowiadaniu mądrości życiowej, tyle humoru i werwy, iż z prawdziwą przyjemnością dają je jako interludium¹ między wielkimi członami *Komedii ludzkiej*.

Znowuż następuje tu uwaga co do techniki pisarskiej Balzaka. Ogarniając swoim dziełem całe światy, rzecz zrozumiała, że Balzac musi wyzyskiwać miejsce: czasem operuje, jak wszyscy mistrze², śmiałymi skrótami; często kilka lat życia, cała epoka, mieszczą się w kilkunastu wierszach, a jeżeli opis jednego dnia (np. w *Straconych złudzeniach* lub w *Ostatnim wcieleniu Vautrina*) zajmuje pół tomu, to dlatego, że w tym dniu skupia się to, co życie daje nieraz na przestrzeni lat. Ale jest okoliczność, w której Balzac zawsze „ma czas”, kiedy się nie spieszy: mianowicie gdy chodzi o żarty i pustoty³ młodości; wówczas lubuje się swoim przedmiotem, czuć, że się bawi sam, że korzysta z tej jak gdyby chwili wytchnienia w swej miążdżącej pracy. Tak i tutaj, pół tomu wypełniają gawędy w dylizansie lub pocieszne obrzędy palestrantów⁴. Daje również Balzac upust słabostce swej do kalamburów, które wkłada zazwyczaj w usta Mistigrisa lub Bixiou. Śmiano się, że z mało którego pięknego dzieła Balzac był tak dumny i uszczęśliwiony, jak z wynalezienia nowego kalamburu albo z przekręconego przysłowia, mimo że ten rodzaj dowcipu nie należał z pewnością do jego najsilniejszych stron. Co do mnie, przyznaję, że lubię Balzaka i w tych jego słabostkach, które przez jakiś czas poważni (ach, jak poważni!) krytycy sądzili tak surowo.

Bo co Balzaka czyni tak wielkim, to rzadka zdolność objęcia całości zjawisk. Zwykle zdolności te dzielą się; jeden pisarz widzi wielkie zagadnienia społeczne, inny czuje kobietę, inny umie podpatrzeć drobiazgi życia. Balzac widzi wszystko, i wszystko naraz; na wszystko patrzy okiem myśliciela, wszystko jest mu równie ważne i poważne. Mało jest twórców, u których element męski i kobiecy dzieła byłyby tak doskonale zrównoważone. Ten mędrzec, ogarniający najwyższe problemy, jakże ma doskonałe zrozumienie dzieciństwa⁵ młodości. Jest jednym z tych rzadkich, którzy w wieku dojrzałym nie zapomnieli własnej młodości; echa jej raz po raz wracają w jego dziele. Rozumie wszystkie jej głupstwa, wszystkie próżności, wszystkie pałace żądze i zawiści, jej entuzjazm, jej okrucieństwo i cierpienia, rozumie drobne błędy, za które życie mści się na biednych dzieciakach jak na dorosłych.

A jednak mimo tych „rozwlekłości”, ileż rzeczy pomieścił Balzac w swym krótkim opowiadaniu. Znów kawał historii Francji z lotu ptaka, szkic owych przemian, które przeżyła od Rewolucji do Restauracji⁶, oddźwięki, jakie budzi historia w sercu dorastającego pokolenia. Są związki między katastrofą Oskara a epopeją napoleońską... Oto przykład tego wielostronnego spojrzenia Balzaka, pod którego piórem każda na pozór błaża anegdota otwiera się na perspektywy społeczne. Wnętrze dylizansu w pierwszej podróży i w drugiej! Jak w tej pierwszej ostro jeszcze znaczą się przepaści społeczne. Postać starego ministra urasta do jakiegoś półboga, przed jego zmarszczeniem brwi drży zarówno utalentowany malarz, jak dependent reagenta. Każdy tkwi tam w

¹ *interludium* (muz.) – muzyczny przerywnik w ciągu utworu. [przypis edytorski]

² *mistrze* – dziś: mistrzowie. [przypis edytorski]

³ *pustota* (daw.) – lekkomyślność, tu: lekkomyślne figle. [przypis edytorski]

⁴ *palestrant* (daw.) – członek palestry, czyli prawnik. [przypis edytorski]

⁵ *dzieciństwo* (daw.) – dziś: dzieciada; postępowanie dziecinne, właściwe dzieciom, a nie dojrzałym ludziom. [przypis edytorski]

⁶ *od Rewolucji do Restauracji* – okres historii Francji od obalenia monarchii w wyniku Rewolucji Francuskiej (1789–1799), przez rządy Napoleona, aż do jego abdykacji (1814) i przywrócenia władzy dynastii Burbonów. [przypis edytorski]

swojej kolei i wie, że bez pomocy potężnej ręki z niej się nie wydostanie. Jakże inna atmosfera w drugiej podróży. Między jedną a drugą, przewiała przez Francję rewolucja lipcowa, a z nią głęboka przemiana. Wszystko się wytasowało. Podejrzaną uczciwością rządzi wielki parlamentarzysta; żona jego, eks-pokojówka, teściową poety, ministra i para Francji; wieśniak Leger pojął córkę dumnego ze swego szlacheństwa pana de Reybert, aby znów swoją córkę oddać głośnemu artyście. Jedni porobili majątki, drudzy je potracili. W każdym szczególe czuć owo przegrupowanie społeczne, które stało się kamieniem węgielnym nowoczesnego społeczeństwa, a które my przeżyliśmy w o wiele słabszym stopniu. Gdy we Francji stan średni tworzył się z **ruchu wstępującego**, z dorabiającego się i rosnącego w siły ludu, u nas raczej rekrutował się on ze zmiejszczonej⁷ szlachty.

W wyborze utworów, które dają kolejno, staram się uwydatnić owe związki, które stanowią główną cechę *Komedii Ludzkiej*. Brakiem ich grzeszyło dawne jej częściowe polskie wydanie z lat osiemdziesiątych: zawierało ono szereg cenniejszych powieści Balzaka, ale brak im było właśnie owych punktów styczności. Tutaj np. znajdziemy klucz do pozycia państwa de Sérisy, których raz po raz spotykamy w innych utworach; poznamy się ze starowiną Cardot, który tylko nam mignął w łożu teatrzyku w *Straconych złudzeniach*. Kiedy później wrócimy do tamtych powieści, już każda postać nabierze innej plastyki, widzimy ją niejako stereoskopicznie⁸, w przestrzeni. I na tym polega jedność tej *Komedii Ludzkiej*, jej nieporównana plastyka i żywość; występujące w niej postacie nie są opisane przez Balzaka, one istnieją. Nie dziw, że on mówił o nich jak o rzeczywistych.

Niedawno odbył się w Ameryce wielki plebiscyt na temat największych pisarzy świata. Balzac znalazł się na piątym miejscu, o kilka miejsc przed Moliere. Charakterystycznym jest, że właśnie Ameryka tak samodzielnie odczuła wielkość tego pisarza. A że cały świat amerykanizuje się po trosze, godzina Balzaka dopiero nadchodzi. Najlepiej objawia się to w Niemczech, gdzie również w plebiscycie zajął on drugie miejsce poczytności, gdzie zbiorowe wydanie *Komedii Ludzkiej* bije się⁹ w 50 000 egzemplarzy i gdzie w ubiegłym roku ukazały się o Balzaku dwie wielkie monografie. Niedawno otrzymałem od czytelniczki z Poznania propozycję, aby założyć klub balzakistów. Są znaki na niebie i na ziemi...

Warszawa, listopad 1926 r.

Boy

⁷ zmiejszczony – przemieniony przez życie miejskie, zgodnie z jego wymogami. [przypis edytorski]

⁸ stereoskopicznie – dziś popr.: stereoskopowo, z dostrzeganiem głębi obrazu i trójwymiarowości przedmiotów. [przypis edytorski]

⁹ bije się – tu: odbija się na maszynie drukarskiej, drukuje się. [przypis edytorski]

Pierwsze kroki

Laurze.

Niechaj świetna a skromna inteligencja, która poddała mi temat tego opowiadania, ma jego chwałę!

Brat.

W niedalekiej przyszłości, koleje żelazne muszą zmieść pewne gałęzie przemysłu, zmienić inne, zwłaszcza te, które są związane z rozmaitymi sposobami lokomocji w okolicach Paryża. Toteż niebawem ludzie i rzeczy, tworzący przedmiot tego opowiadania, dadzą mu wartość pracy archeologicznej. Czyż nasi wnukowie nie będą radzi poznać materiał epoki, którą będą nazywali **dawnym czasem**? Tak na przykład, malownicze **kukułki**, które wystawały na placu Zgody, barykadując *Cours-la-reine*, kukułki tak kwitnące przez cały wiek, tak liczne jeszcze w r. 1830, nie istnieją już; w roku 1842, w czas najludniejszej podmiejskiej uroczystości, zaledwie spostrzeże się jaką na gościńcu.

W roku 1820 miejscowości słynne swym położeniem i nazywane **okolicami Paryża** nie posiadały po części regularnej komunikacji pocztowej. Bądź co bądź, Touchard ojciec i syn nabyli monopol lokomocji do najludniejszych miast w promieniu piętnastu mil; przedsiębiorstwo ich mieściło się we wspaniałym zakładzie przy ulicy Faubourg-Saint-Denis. Mimo swej dawności, mimo wysiłków, kapitałów i wszystkich przewag potężnej centralizacji, dyliżanse Touchard znajdowały w kukułkach przedmieścia Saint-Denis groźną konkurencję, o ile chodziło o miejscowości położone w odległości siedmiu do ośmiu mil. Namietność paryżanina do wsi jest taka, że przedsiębiorstwa lokalne również walczyły zwycięsko z *Petites-Messageries*: miano dawane przedsiębiorstwu Touchardów w przeciwieństwie do *Grandes-Messageries* z ulicy Montmartre. W tej epoce powodzenie Touchardów pobudziło spekulantów. Dla najmniejszych miejscowości w okolicach Paryża powstawały przedsiębiorstwa wehikułów pięknych, szybkich i wygodnych, kursujących o stałych godzinach, co, w promieniu dziesięciu mil, stworzyło na wszystkich punktach zajadłą konkurencję. Pobita w kursach od czterech do sześciu mil, kukułka czepiła się mniejszych odległości i wegetowała jeszcze kilka lat. Wreszcie uległa, z chwilą gdy omnibusy wykazały możliwość pomieszczenia osiemnastu osób w wehikule ciągnionym przez dwa konie. Dziś kukułka (jeżeli przypadkowo jeden z tych ptaków o tak ciężkim locie istnieje jeszcze w jakiej rupieciarni fabrykanta powozów) byłaby, dla swej budowy i swoich urządzeń, przedmiotem uczonych badań, podobnych do badań Cuviera nad zwierzętami znalezionymi w gipsie Montmartre.

Małe przedsiębiorstwa, zagrożone przez spekulantów walczących od r. 1822 przeciw Touchardom, znajdowały zazwyczaj punkt oparcia w sympatiach tubylców miejscowości, którą obsługiwały. Przedsiębiorca, równocześnie konduktor i właściciel wehikułu, był to zazwyczaj miejscowy oberżysta, znający na wylot kraj, ludzi i interesy. Załatwiał inteligentnie zlecenia, żądał za swoje drobne usługi mniej, a tym samym dostawał więcej, niż *Messageries-Touchard*. Umiał wywinąć się od akcyzy. W potrzebie przekraczał rozporządzenia co do liczby podróżnych. Posiadał wreszcie sympatie ludu. Toteż kiedy wyrósł konkurent i dawny miejscowy konduktor podzielił z nim dni tygodnia, wiele osób odkładało podróż, aby ją odbyć w towarzystwie starego woźnicy, mimo że stan jego wehikułu i koni niewiele mógł budzić zaufania.

Jedną z linii, którą Touchardowie usiłowali zmonopolizować, której im broniono najzjadlej, i o którą jeszcze toczy się walka z następcami ich, Tuluzami, to linia z Paryża do Beaumont-sur-Oise, linia nadzwyczaj zyskowna, skoro trzy przedsiębiorstwa wyciskały ją równocześnie w r. 1822. Na próżno *Messageries* obniżały ceny, na próżno mnożyły godziny odjazdu, na próżno budowały doskonałe wehikuły, konkurencja utrzymała się; tak bardzo wydajna jest linia, przy której znajdują się małe miasteczka jak Saint-Denis i Saint-Brice, wioski jak Pierrefitte, Groslay, Ecoen, Poncelles,

Moisseles, Baillet, Monsoult, Maffliers, Franconville, Presles, Nointel, Nerville, etc. Touchardowie rozszerzyli w końcu kurs od Paryża aż do Chambly. Konkurencja poszła do Chambly. Dziś Tuluzowie jeżdżą do Beauvais.

Na tym trakcie, tzw. angielskim, istnieje droga, która zaczyna się w miejscowości dobrze nazwanej **Piwnicą**, zważywszy jej topografię, a prowadzi do jednej z najrozkoszniejszych dolin kotliny Oise, do miasteczka Isle-Adam, podwójnie sławnego i jako kolebka wygasłego domu de l'Isle-Adam, i jako dawna rezydencja Bourbonów-Conti. Isle-Adam jest to prześliczne miasteczko, łączące się z dwiema wsiami, Nogent i Parmain, godnymi uwagi przez wzgląd na wspaniałe kamieniołomy, które dostarczyły materiałów do najpiękniejszych budowli w Paryżu i za granicą. Podstawa i kolumny teatru w Brukseli są z kamienia nogenckiego. Mimo iż zalecająca się cudownym położeniem, słynnymi zamkami zbudowanymi przez książąt, mnichów lub też głośnych rysowników, jak Cassan, Stors, Le Val, Nointel, Persan, etc., w r. 1822 okolica ta nie знаła konkurencji: obsługiwało ją, w zgodnym porozumieniu dwóch woźniców. Wyjątek ten opierał się na zrozumiałych przyczynach. Od La Cave, punktu, w którym zaczyna się, na trakcie angielskim, brukowana droga, pamiątka hojności Contich, aż do Isle-Adam, odległość wynosi dwie mile; żadne przedsiębiorstwo nie mogło zrobić tak znacznego zboczenia, zwłaszcza że w Isle-Adam droga kończyła się wówczas ślepo. Od kilku lat gościniec połączył dolinę Montmorency z doliną Isle-Adam. Od Saint-Denis przechodzi przez Saint-Leu – Taverny, Méru, Isle-Adam, i bieży wzdłuż Oizy aż do Beaumont. Ale w r. 1822 jedyna droga, która wiodła do Isle-Adam, była to droga książąt Conti. Pietrek i jego kolega władali tedy od Paryża do Isle-Adam, kochani przez całą okolicę. Pietrkowy powóz oraz wehikuł jego kolegi obsługiwały Stors, le Val, Parmain, Champagne, Mours, Prérólles, Nogent, Nerville i Maffliers. Pietrek był tak znany, że mieszkańcy Monsoult, Moisselles, Baillet i Saint-Brice, mimo iż mieszkający przy gościńcu, posługiwali się jego wehikułem, gdzie było łatwiej o miejsce niż w zawsze pełnych dyliżansach z Beaumont. Pietrek dobrze żył ze swoją konkurencją. Kiedy Pietrek wyjeżdżał z Isle-Adam, kolega jego wracał z Paryża, i odwrotnie. Zbytecznym jest mówić tu o konkurencie. Pietrek posiadał sympatie okolicy. Z dwóch konduktorów, on jest zresztą jedynym, który gra rolę w tej autentycznej historii. Niech wam wystarczy tedy wiedzieć, że dwaj woźnice żyli w dobrej harmonii, prowadząc uczciwą wojnę i walcząc o pasażerów godziwymi sposobami. Przez oszczędność, zajmowali w Paryżu ten sam dziedziniec, tę samą gospodę, tę samą stajnię, tę samą szopę, to samo biuro, mieli wspólnego urzędnika. Ten szczegół dostatecznie świadczy, że Pietrek i jego przeciwnik byli, wedle ludowego wyrażenia, poczciwe kmotry¹⁰. Gospoda ta, położona na samym rogu ulicy d'Enghien, istnieje jeszcze i nosi godło **pod Srebrnym Lwem**. Właściciel tego zakładu, przeznaczonego od niepamiętnych czasów na pomieszczenie dla dyliżansów, sam miał przedsiębiorstwo wehikułów do Dammartin, tak porządnie prowadzone, iż Touchardowie, jego sąsiedzi, których *Petites-Messageries* mieszczą się naprzeciwko, nie próbowali pchnąć swego dyliżansu na tę linię.

Mimo iż odjazd do Isle-Adam miał się odbywać o stałej godzinie, Pietrek i jego kolega uprawiali na tym punkcie pobłażliwość, która, o ile jednała im sympatie ludzi miejscowych, o tyle ścigała na nich gromy ze strony obcych, przywykłych do regularności wielkich linii publicznych; ale dwaj woźnice tego wehikułu – pół-dyliżansu, pół-kukułki – znajdowali zawsze obrońców w stałych klientach. Po południu odjazd o czwartej odwlekał się do wpół do piątej, rano zaś, mimo żeznaczony na ósmą, nigdy nie odbywał się przed dziewiątą. System ten był zresztą nader elastyczny. W lecie (złoty czas dla dyliżansów!) prawo odjazdu, surowe dla obcych, ugięło się jedynie dla miejscowych. Ta metoda pozwalała Pietrkowi sprzedać dwa razy jeden bilet, kiedy tubylec przyszedł wcześniej pytać o miejsce zajęte przez **przelotnego ptaka**, który, nieszczęściem, się spóźnił. Giętkość ta nie znalazłaby z pewnością łaski w oczach purystów, ale Pietrek i jego kolega usprawiedliwiali ją **ciężkimi czasami**, stratami, jakie ponosili w zimie, koniecznością obejrzenia się za lepszym

¹⁰ *kmotr* (daw.) – tu: kum, przyjaciel, kumpel. [przypis edytorski]

wehikułem, wreszcie ścisłym przestrzeganiem prawa wypisanego na karteczkach, których bardzo skąpe egzemplarze wydawano jedynie przelotnym podróżnym na tyle upartym, aby się ich domagać.

Pietrek, mężczyzna czterdziestoletni, był już ojcem rodziny. Opuściwszy szeregi kawalerii w epoce zwalniań w r. 1815, dzielny chłopak objął te funkcje po ojcu, który powoził między Isle-Adam a Paryżem kukułką w sposób dość kapryśny. Ożeniwszy się z córką drobnego oberżysty, rozszerzył linię Isle-Adam, dał jej większą regularność, zwrócił na siebie uwagę inteligencją i wojskową akuracnością. Zręczny, rezolut, Pietrek (o nazwisko jego nikt się nie troszczył) miał ruchliwą fizjonomię, dzięki której twarz jego, czerwona i jakby wygarbowana, nabrała drwiącego wyrazu dającego wrażenie inteligencji. Nie zbywało mu zresztą na owej łatwości słowa, której nabywają ludzie, ocierając się o świat. Głos jego, nawykły mówić do koni i krzyżeć „**na bok**”, zrobił się szorstki, ale z klientami starał się go łagodzić. Na strój jego, jak u wszystkich woźniców tego typu, składały się ciężkie podkute buty z cholewami, zrobione w Isle-Adam, grube zielone pantalone i takiegoż koloru kamizelka, na którą w czasie spełniania swych funkcji wkładał niebieską bluzę, strojną na kołnierzu, na ramionach i na rękawach kolorowymi wyszyciami. Na głowie kaszkiet z daszkiem. Służba wojskowa zostawiła Pietrkowi wielki szacunek dla wyzyna społecznych i nawyk posłuszeństwa wobec wyższych klas; ale poufalił się chętnie z łyczkami i szanował zawsze kobiety, do jakiej bądź klasy należały. W rezultacie, przez tyle lat **tryndając pasażerów** – jedno z jego zwyczajnych wyrażań – nauczył się w końcu patrzeć na nich jak na paczki, które chodzą i które, tym samym, mniej wymagają starań od innych, stanowiących główny przedmiot przedsiębiorstwa.

Zaskoczony powszechnym ruchem, który od czasu pokoju przeobrażał jego gałąź przemysłu, Pietrek nie chciał się dać wyprzedzić w postępie. Toteż od wiosennego sezonu opowiadał szeroko o pięknym wehikule zamówionym w firmie Farry, Breilmann i C-ie, najlepszych fabrykantów dylizansów, a koniecznym z powodu rosnącego napływu podróżnych. Inwentarz Pietrka składał się w owym czasie z dwóch wehikułów. Jeden, który służył mu w zimie i jedyny, który pokazywał urzędnikom skarbowym, odziedziczony był po ojcu i miał coś z **kukułki**. Wysklepione boki wehikułu pozwalały umieścić sześciu podróżnych na dwóch ławeczkach, twardych jak kamień, mimo że obitych żółtym aksamitem. Te dwie ławeczki dzieliła drewniana barierka, którą się do woli wyjmowało i wkładało z powrotem w dwa rowki zrobione na ścianach, na wysokości grzbietu. Bariera ta, podstępnie obita aksamitem, była rozpaczą podróżnych z przyczyny trudności, jaką sprawiało wyjąć ją i założyć na nowo. Oparcie to, tak trudne w manipulacji, było jeszcze uciążliwsze dla pleców, kiedy było na swoim miejscu; ale kiedy się je zostawiło w poprzek pojazdu, wówczas i wejście i wyjście stawało się jednakowo niebezpieczne, zwłaszcza dla kobiet. Mimo iż każda ławeczka w tym wehikule z łonem wysklepionym jak u ciężarnej kobiety mogła pomieścić tylko trzech pasażerów, widywało się ich czasami ośmiu, ściśniętych jak śledzie w beczce. Pietrek utrzymywał, że podróżni czują się tak o wiele lepiej, ponieważ tworzą wówczas zbitą, niewzruszoną masę; podczas gdy trzej pasażerowie objali się ustawicznie o siebie i często groziło im to, że zgniotą sobie kapelusze o sufit od gwałtownych wstrząśnień. Na przedzie znajdowała się drewniana ławeczka, siedziba Pietrka; tam mogło się zmieścić trzech pasażerów, którzy, usadowieni w tym miejscu, noszą, jak wiadomo, miano **królików**. Czasami Pietrek mieścił tam czterech królików, i sam siadał wówczas bokiem, na pudle mieszczącym się poniżej, aby dać oparcie nogom **królików**, zawsze pełnym słomy lub paczek niegroźących uszkodzeniem. Skrzynię tej kukułki, pomalowaną żółto, zdobiła u góry błękitna opaska, na której czytało się srebrzysto-białymi literami: **Isle-Adam – Paryż**, a z tyłu: **Linia Isle-Adam**. Nasze wnuki byłyby w błędzie, gdyby sądziły, że wehikuł ten mógł zabrać tylko trzynaście osób, licząc w to Pietrka: w ważnych wypadkach ładowano jeszcze trzech do kwadratowego przedziału pokrytego płachtą, gdzie tłoczyły się walizy, skrzynie i paczki; ale ostrożny Pietrek wpuszczał tam tylko znajomych klientów, i tylko o jakieś czterysta kroków za rogatką. Ci mieszkańcy **kojca** – miano dawane przez woźniców tej części wehikułu – musieli wysiadać przed każdą wsią przy drodze, gdzie znajdował się posterunek żandarmerii. Przepelnienie zabronione rozporządzeniami **tyczącymi bezpieczeństwa podróżujących**, było wówczas zbyt jaskrawe, aby żandarm, zasadniczo

sympatyzujący z Pietrkiem, mógł poniechać spisania protokołu. Tak więc wehikuł Pietrkowy **tryndał** w pewne soboty popołudniu lub poniedziałki rano po piętnastu pasażerów; ale wówczas swemu staremu, wielkiemu koniowi, zwanemu Kasztan, Pietrek przydawał towarzysza w osobie małego konika, dla którego nie miał dosyć słów pochwały. Konik ten, była to klacz imieniem **Sarenka**; jadła mało, żywa była jak iskra, niestrudzona, warta swojej wagi złota¹¹.

– Moja żona nie oddałaby jej za tego nieroba Kasztana! – wołał Pietrek, kiedy podróżny pozwolił sobie zażartować z tej miniaturowej konia.

Różnica między tym a drugim powozem była taka, że drugi powóz był na czterech kołach. Powóz ów, dziwacznej budowy, zwany **powóz na czterech kołach**, brał po siedemnastu pasażerów, a miał ich mieścić tylko czternastu. Robił hałas tak straszny, że często w Isle-Adam mówiono: „O, jedźcie Pietrek!”, kiedy wyjeżdżał z lasu porastającego zbocze. Podzielony był na dwie części, z których pierwsza, zwana **środek**, mieściła sześciu pasażerów na dwóch ławeczkach, a druga – rodzaj kabrioletu umieszczonego z przodu – nazywała się **przodkiem**. Przodek ten zamykał się niewygodną i dziwaczną szybą, której opis zająłby zbyt wiele miejsca, aby można było o niej mówić. Powóz o czterech kołach uwieńczony był krytą imperiałką, w której Pietrek mieścił sześciu pasażerów, a którą zasłaniało się skórzanymi firankami. Pietrek sadowił się na siedzeniu prawie niewidzialnym, umieszczonym poniżej oszklenia **przodka**. Woźnica z Isle-Adam płacił podatki, jakim podlegają wehikuły publiczne, jedynie za swą kukułkę, rzekomo przewożącą sześciu pasażerów, brał zaś przepustkę za każdym razem, kiedy się posługiwał pojazdem o czterech kołach. To może się wydać osobliwe dziś, ale w początkach podatek na wehikuły, wprowadzony z pewną nieśmiałością, pozwalał przedsiębiorcom na te drobne oszukaństwa, dające im przyjemność **wykiwania** urzędników, wedle ich słownika. Stopniowo wygłodniały Fiskus¹² zrobił się surowszy, zabronił wehikułom krążyć bez podwójnego stempla, który obecnie zwiastuje, że są wymierzone i że podatek za nie jest opłacony. Wszystko ma swój czas niewinności, nawet urząd podatkowy; ale z końcem roku 1822 czas ten trwał jeszcze. Często, w lecie, wehikuł o czterech kołach i kukułka jechały zgodnie drogą, wioząc trzydziestu dwóch pasażerów, a Pietrek płacił takse jedynie od sześciu. W owych szczęśliwych dniach konwój ruszał o wpół do piątej z przedmieścia Saint-Denis i przybywał dzielnie o dziesiątej wieczór do Isle-Adam. Toteż, dumny ze swej jazdy, która wymagała donajęcia nadliczbowych koni, Pietrek powiadał: „Ostrośmy jechali¹³!”. Aby móc zrobić dziewięć mil w pięć godzin w tej kawalkadzie, kasował wówczas postoje, jakie woźnice czynią zazwyczaj na tej drodze, w Saint-Brice, w Moisselles i w La Cave.

Hotel **pod Srebrnym Lwem** zajmuje plac bardzo głęboki. Fasada ma wprawdzie tylko trzy czy cztery okna na przedmieście Saint-Denis, ale za to w długim dziedzińcu, na którego końcu są stajnie, mieści się cały dom przylegający do muru sąsiedniej posiadłości. Wejście tworzyło rodzaj korytarza, w którym mogły stać dwa lub trzy powozy. W r. 1822, biura wszystkich przedsiębiorstw pomieszczonych pod **Srebrnym Lwem** prowadziła żona oberżysty, która miała tyle ksiąg, ile było linii, przyjmowała pieniądze, zapisywała nazwiska i składała pocziwie paczki w swej olbrzymiej kuchni. Podróżni zadowalali się tą patriarchalną swobodą. Skoro przybyli za wcześnie, siadali pod okapem obszernego komina lub też wystawali w bramie lub wreszcie udawali się do **Kawiarni trybunalskiej**, stanowiącej narożnik ulicy tej nazwy, równoległej do ulicy d'Enghien, od której dzieli ją tylko kilka domów.

W pierwszych dniach jesieni, w sobotę rano, Pietrek, z rękami wsadzonymi w kieszenie przez dziury w swojej bluzie, siedział pod bramą **Srebrnego Lwa**, skąd było widać w amfiladzie kuchnię, dalej zaś długi dziedziniec, na którego końcu rysowały się czarno stajnie. Dylizans do Dammartin

¹¹ *warta swojej wagi złota* – tj. warta tyle złota, ile sama waży. [przypis edytorski]

¹² *Fiskus* (z łac. *fiscus*: koszyk na pieniądze) – Skarb Państwa a. organy administracyjne ściągające podatki; termin funkcjonujący już w staroż. Rzymie. [przypis edytorski]

¹³ *ostrośmy jechali* – konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: ostro jechaliśmy. [przypis edytorski]

właśnie wyjechał i ruszył ciężko za dyliżansami Touchard. Było już po ósmej. Pod ogromną sienią, nad którą istnieje na długim szyldzie napis: **Hotel pod Srebrnym Lwem**, stajenni oraz parobkowie obsługujący dyliżanse spoglądali na powozy ruszające z miejsca w tempie, które tak myli podróżnych, budząc w nich nadzieję, że cały czas konie będą szły tym krokiem.

– Zaprzęgamy, panie starszy? – spytał Pietrka stajenny, kiedy już nie było widać nic.

– Kwadrans na dziewiątą, a nie widzę jeszcze ani źdźbła pasażera – odparł Pietrek. – Gdzie oni się zaszyli? Ale możesz zaprzęgać. I pakunków też nie ma. Kroć diasków! **Tamten** nie będzie wiedział, gdzie wetkać swoich pasażerów dziś wieczór, śliczna pogoda, a ja mam całej parady zapisanych czterech. To mi ładna gratka na sobotę! Zawsze tak, kiedy człowiekowi potrzeba pieniędzy! Cóż za pieskie rzemiosło! Co za psie rzemiosło!

– Gdybyście ich mieli, gdzieżbyście ich pomieścili, skoro mamy dziś tylko kukułkę? – rzekł stajenny, starając się uspokoić Pietrka.

– A mój nowy powóz? – rzekł Pietrek.

– To on istnieje? – spytał gruby Owerniak¹⁴, pokazując w uśmiechu zęby białe i szerokie jak migdały.

– Stary niedojdo, potoczy się jutro, w niedzielę, i trzeba nam będzie osiemnastu pasażerów.

– A, ba! Ładny powóz to zagrzeje cały interes – rzekł stajenny.

– Powóz takuteńki jak ten, co jeździ do Beaumont! Ale! Nowiusienieczki! Malowany czerwono i złoto, tak że Touchardów szlak trafi ze złości! Trza mi będzie trzy konie. Znalazłem konika do pary z kasztanem, a Sarenka pójdzie gracko na przyprzążkę. No, dalej, zaprzęgaj – rzekł Pietrek, który spoglądał ku bramie Saint-Denis, ładując tytoń do krótkiej fajeczki. – Widzę tam jakąś paniusią i młodego pana z paczkami pod pachą, szukają **Srebrnego Lwa**, bo ani nie spojrzą na kukułki. Oho! Zdaje mi się, że ta paniusia to stara znajoma!

– Częstoście zajechali pełno, ruszywszy z domu pusto – rzekł stajenny.

– Ale pakunków nie ma! Kroćset kartaczy! Cóż za los!

I Pietrek usiadł na jednym z ogromnych słupów, chroniących mur od uderzeń osi, ale usiadł z miną niespokojną i zadumaną, która nie była mu zwyczajną. Ta rozmowa, nieznacząca na pozór, poruszyła okrutne troski skryte w głębi Pietrkowego serca. A co mogło mącić serce Pietrkowe, jeśli nie piękny wehikuł? Paradować na gościńcu, iść o lepsze z Touchardami, rozszerzyć swój interes, wozić pasażerów winszujących mu wygod postępowej lokomocji, miast słuchać ich ustawicznych wymówek za jego pudło, taka była chwalebna ambicja Pietrkowa. Otóż woźnica z Isle-Adam, uwiedziony żądzą zakasowania swego kolegi, doprowadzenia go może do tego, aby mu kiedyś wyłącznie zostawił linię Isle-Adam, przeliczył się z siłami. Zamówił w istocie pojazd u Farry, Breilmann i C-ie, powoźników, którzy właśnie wprowadzili angielskie resory w miejsce dawnej mechaniki francuskiej, ale ci nieufni i twardzi fabrykanci nie chcieli wydać dyliżansu inaczej niż za gotowiznę. Niezbyt kwapiąc się do fabrykacji pojazdu trudnego do ulokowania, gdyby im został, roztropni kupcy przystąpili do niego dopiero po wpłacie dwóch tysięcy franków, skuteczniejszej przez Pietrka. Aby uczynić zadość sprawiedliwym wymaganiom fabrykantów, ambitny woźnica wyczerpał wszystkie środki i wszelki kredyt. Żona jego, teść i przyjaciele upuścili sobie krwi. Oglądał właśnie ten wspaniały dyliżans wczoraj u malarza, tylko go zaprzęgać! Ale, aby go zaprzęcać, trzeba było spłacić resztę. Otóż, Pietrkowi brakowało tysiąca franków! Zalegając u oberżysty z komornym, nie śmiał go prosić o pożyczanie tej sumy. Z braku tysiąca franków, narażał się na stratę dwóch tysięcy zadatkowanych z góry, nie licząc pięciuset franków – cena nowego Kasztana – oraz trzystu franków za nową uprzęż, na którą uzyskał trzy miesiące kredytu. I oto, party wściekłością rozpaczy oraz szaleństwem próżności, upewniał przed chwilą, że jego nowy dyliżans ruszy w drogę jutro, w

¹⁴ *Owerniak* – mieszkaniec Owernii a. osoba pochodząca z Owernii (fr. *Auvergne*), górzystego, uzdrowiskowego regionu w centralnej Francji. [przypis edytorski]

niedzielę. Dając tysiąc pięćset franków na dwa tysiące pięćset, miał nadzieję, że rozczuleni fabrykanci wydadzą mu powóz, ale po trzech minutach dumania, wykrzyknął głośno:

– Nie, to skończone psy, kutwy bez sumienia! A gdybym się zwrócił do pana Moreau, rządcy z Presles, to taki pocziwy człowiek? – rzekł do siebie uderzony nową myślą. – Wzięłby może ode mnie półroczny weksel.

W tej chwili lokaj bez liberii, niosący skórzaną walizkę, przybyły z biura Touchardów, gdzie nie znalazł miejsca do Chambly na pierwszą po południu, rzekł do woźnicy:

– To wy jesteście Pietrek?

– Wedle czego? – rzekł Pietrek.

– Jeżeli możecie zaczekać mały kwadransik, zabierzecie mojego pana: inaczej odniosę jego walizę i będzie musiał jechać dorożką.

– Zaczekam dwa, trzy kwadranse i oko, mój chłopcze – rzekł Pietrek zerkając na ładną, skórzaną walizkę, zamkniętą na mosiężny zamek z herbem na wierzchu.

– Dobra! Więc bierzcie – rzekł lokaj, zrzucając z ramienia walizkę, którą Pietrek uniósł, zważył, obejrzał.

– Masz – rzekł do stajennego – zawiń to dobrze w siano i załaduj do paki z tyłu. Nie ma nazwiska – dodał.

– Jest herb jego ekscelencji – odparł lokaj.

– Ekscelencji? Taka parada? Chodźcież na kieliszeczek – rzekł Pietrek, mrugając okiem i kierując się do **Kawiarni trybunalskiej**, dokąd pociągnął lokaja. – Chłopiec, dwa absynty! – zawołał wchodząc. – ...któż to jest wasz pan i dokąd się udaje? Nigdy go nie widziałem – spytał Pietrek, trącąc się ze służącym.

– I nie dziwota – odparł lokaj. – Mój pan jeździ do was tylko raz na rok i to zawsze powozem. Woli dolinę Orge, gdzie ma najpiękniejszy park w okolicach Paryża, istny Wersal, dobra rodzinne, od nich ma nazwisko. Nie znacie pana Moreau?

– Administratora z Presles?

– Właśnie. Więc pan hrabia jedzie na dwa dni do Presles.

– A! Będę wioził pana hrabiego de Sérisy – wykrzyknął.

– Tak, mój chłopcze, tylko tyle. Ale baczność! Rozkaz. Jeżeli macie kogo z tamtych stron w dylizansie, nie wymieniajcie pana hrabiego, chce podróżować **kognito**¹⁵, zalecił mi to wam powiedzieć, obiecując dobry napiwek.

– Hehe! Ta podróż w czapce niewidce ma może związek z interesem, jaki robi stary Léger, dzierżawca z Moulineux?

– Nie wiem – odparł lokaj – ale czuję swąd w powietrzu. Wczoraj wieczór poszedłem do stajni z rozkazem, aby trzymano na siódmą rano powóz do drogi do Presles, ale o siódmej jego ekscelencja odwołał. August, pokojowiec pana hrabiego, przypisuje tę odmianę wizycie pewnej damy, która wygląda mi na to, że przybyła stamtąd.

– Czyżby co nagadano na pana Moreau! Najzacniejszy człowiek, najuczciwszy człowiek, królewski człowiek, ba! Mógłby zarobić więcej pieniędzy niż ich ma, wierzajcie!...

– W takim razie głupstwo zrobił – odparł sentencjonalnie lokaj.

– Pan de Sérisy zamieszka tedy w Presles, skoro umeblowano i odrestaurowano pałac? – spytał Pietrek po chwili. – Czy to prawda, że już tam wpakowano dwieście tysięcy franków?

– Gdybyśmy mieli, pan albo ja, to, co wydano ponadto, wystarczyłoby nam do śmierci. Skoro pani hrabina tam zamieszka, a ba! Wówczas tym Moreau cokolwiek rura zmięknie – rzekł lokaj tajemniczo.

¹⁵ *kognito* – zniekształcone łac. *incognito* (od łac. *incognitus*: nieznanany), tj. bez ujawniania swojej tożsamości, umyślnie zachowując anonimowość, pozostając nierozpoznanym. [przypis edytorski]

– Zacny człowiek, ten pan Moreau – odparł Pietrek, który wciąż zamierzał prosić rządcę o swoich tysiąc franków. – Człowiek, który daje ludziom pracę, nie targuje się zbyt o robociznę, wyciska z ziemi całą jej wartość, i to dla swego pana! Zacny człowiek! Często jeździ do Paryża, zawsze moim dylizansem, daje mi dobry napiwek i zawsze ma mnóstwo zleceń do miasta. Po trzy, cztery paczki dziennie, dla pana, dla pani, słowem rachunek na pięćdziesiąt franków miesięcznie, nic tylko same zlecenia. Pani wprowadzie dmie trochę, ale kocha bardzo swoje dzieci, to ja je przywożę z kolegium i ja je odwożę. Za każdym razem daje mi pięć franków, sama hrabina nie postawiłaby się lepiej. Och, za każdym razem, kiedy mam kogoś od nich albo do nich, jadę aż pod bramę pałacową... To się należy, nieprawdaż?

– Powiadają, że pan Moreau nie miał ani tysiąca talarów przy duszy, kiedy go hrabia zrobił rządcą w Presles? – rzekł lokaj.

– Ale od 1806, w siedemnaście lat, musiał przecie coś uciuć! – odparł Pietrek.

– Prawda – rzekł lokaj potrząsając głową. – Ostatecznie, panowie to bardzo pocieszny naród, i mam nadzieję, że pan Moreau wykrobał sobie omastę na chlebuś.

– Wozilem często do was dziczyznę – rzekł Pietrek – do waszego pałacu przy ulicy Chaussée d'Antin, i nigdy nie miałem zaszczytności oglądać pana ani pani.

– Pan hrabia to dobry człowiek – rzekł lokaj poufnie – ale, jeżeli żąda dyskrecji, aby zapewnić sobie **kognito**, musi być jakiś skweres¹⁶, tak my sobie kombinujemy w pałacu: bo po cóż by odmawiał powóz? Po co by się tłukł kukułką? Czy par Francji nie ma na to, aby wynająć dorożkę?

– Dorożka mogłaby zażądać od niego czterdzieści franków tam i z powrotem, bo wiedzcie, że ta droga (jeżeli jej nie znacie) dobra jest, ale dla wiewiórek. Och! Wciąż pod górę i z góry – rzekł Pietrek. – Hrabia czy chudziak, każdy lubi policzyć dwa razy, zanim wyda! Gdyby ta podróż tyczyła pana Moreau... mój Boże, jakby mi było przykro, gdyby mu się miało trafić jakie nieszczęście! Kroćset furgonów! Czy nie byłoby sposobu go uprzedzić? Bo to jest zacny człowiek, całą gębą zacny człowiek, wspaniały człowiek, o!

– Ba! Pan hrabia bardzo go lubi, waszego pana Moreau – rzekł lokaj. – Ale wiesz pan, jeżeli chcecie, abym wam dał dobrą radę: każdy za siebie. Dostyc mamy roboty z tym, aby myśleć o sobie. Róbcie, o co was proszą, tym bardziej, że z jego ekscelencją nie ma żartów. A potem, rzecz pryncypialna, hrabia jest dobry pan, nieskąpy. Jeśli mu usłużycie tyle – rzekł lokaj, pokazując na paznokciu – on wam odda tyle – dodał, wyciągając ramię.

Ta roztropna uwaga, a zwłaszcza ten obraz w ustach człowieka piastującego nie byle jaką godność młodszego kamerdynera hrabiego de Sérisy, miały ten skutek, iż ostudziły zapał Pietrka do rządcy dóbr Presles.

– No, do widzenia, panie Pietrek – rzekł lokaj.

Szybki rzut oka na życie hrabiego de Sérisy oraz jego rządcy jest tutaj konieczny dla właściwego zrozumienia dramaciku, który miał się rozegrać w Pietrkowym dylizansie.

Pan Hugret de Sérisy pochodzi w prostej linii od słynnego prezydenta Hugret, uszlachconego za Franciszka I¹⁷.

Rodzina ta nosi w herbie tarczę pół-złotą, pół-czarną, w czerwonej ramie, z napisem: *I, semper melius eris*¹⁸, godło, które niemniej jak dwa motowidła wzięte za podpory tarczy, dowodzi skromności mieszczańskich rodzin, w czasach gdy Stany trzymały się na swoim miejscu. Naiwność naszych dawnych obyczajów odbija się w kalamburze *Eris*, które, połączone z początkowym **I** oraz końcowym **S** ze słowa *melius*¹⁹, daje nazwisko (*Sérisy*) majątku, z którego uczyniono hrabstwo.

¹⁶ *skweres* (daw.) – zmartwienie, kłopot, problem. [przypis edytorski]

¹⁷ *Franciszek I* – François I (1494–1547) z gałęzi orleańskiej Walezjuszy, król Francji od 1515 r. [przypis edytorski]

¹⁸ *I, semper melius eris* (łac.) – idź, zawsze będziesz lepszy. [przypis edytorski]

¹⁹ *melius* (łac.) – lepszy. [przypis edytorski]

Ojciec hrabiego był Pierwszym Prezydentem Parlamentu przed Rewolucją. On sam, już Radca Stanu w Wielkiej Radzie w r. 1787, jako dwudziestodwuletni młodzieniec, odznaczył się tam bardzo pięknymi raportami w drażliwych sprawach. Nie wyemigrował w czasie rewolucji, przebył ją w dobrach swoich w Sérisy, koło Arpajon, gdzie szacunek, jakiego zażywał jego ojciec, uchronił go od wszelkiego nieszczęścia. Spędziwszy kilka lat na pielęgnowaniu prezydenta de Sérisy, który umarł w r. 1794, wszedł w owej epoce do Rady Pięciuset; kiedy go wybrano, przyjął wybór, aby rozproszyć swą boleść. W epoce **18 Brumaire**²⁰, pan de Sérisy stał się, jak wszystkie stare rodziny sędownicze, przedmiotem zabiegów Pierwszego Konsula, który go pomieścił w Radzie Stanu i powierzył mu jeden z najbardziej zaniedbanych resortów do odbudowania. Potomek tej historycznej rodziny stał się jednym z najczynniejszych kółek wielkiej i wspaniałej organizacji, stworzonej przez Napoleona. Toteż Radca Stanu opuścił niebawem swoje stanowisko, aby przejść do Ministerium. Mianowany przez cesarza hrabią i senatorem, piastował kolejno prokonsulat dwóch królestw. W r. 1806, mając czterdzieści lat, senator zaślubił siostrę *ci-devant*²¹ margrabiego de Ronquerolles, dwudziestoletnią wdowę po jednym z najświetniejszych generałów republikańskich, Gaubercie, i jego spadobierczynię. Małżeństwo to, zadowolające z punktu widzenia rodu, zdwoiło znaczny już majątek hrabiego de Sérisy, który został szwagrem *ci-devant* margrabiego du Rouvre, mianowanego przez cesarza hrabią i szambelanem. W r. 1814, wyczerpany nieustanną pracą, pan de Sérisy, którego nadwężone zdrowie wymagało spoczynku, złożył wszystkie urzędy, opuścił rząd, na którego czele cesarz go postawił, i przybył do Paryża, gdzie Napoleon, rad nie rad, pogodził się z tym faktem. Ten niestrudzony władca, który nie wierzył w zmęczenie u drugich, wziął zrazu musowy krok hrabiego de Sérisy za odstępstwo. Mimo iż senator nie był nigdy w niełasce, powtarzano na wiarę, że on ma jakieś powody do żalów do cesarza. Toteż, kiedy Burboni wrócili, Ludwik XVIII, w którym pan de Sérisy uznał swego prawego władcę, obdarzył senatora, mianowanego parem Francji, wielkim zaufaniem, powierzając mu swoje prywatne sprawy i mianując go Ministrem Stanu. 20 marca, pan de Sérisy nie udał się do Gand, uprzedził Napoleona, że zostaje wierny domowi Burbonów, nie przyjął Parostwa w czasie **Sto Dni**²², i spędził to tak krótkie panowanie w dobrach swoich w Sérisy. Po powtórnym upadku cesarza, wrócił oczywiście do Rady Przybocznej, został wiceprezydentem Rady Stanu i pełnomocnym likwidatorem Francji w ustaleniu odszkodowań żądanych przez obce mocarstwa. Osobiście skromny, nawet bez ambicji, zażywał wielkiego wpływu w kołach politycznych. Nie działał się nic ważniejszego bez jego porady; ale nie bywał nigdy na dworze i mało się pokazywał we własnych salonach. To szlachetne życie, od młodu poświęcone pracy, stało się w końcu nieustanną pracą. Hrabia wstawał o czwartej rano w każdej porze roku, pracował do południa, dopełniał swoich obowiązków para Francji lub wiceprezydenta Rady Stanu i kładł się o dziewiątej. W uznaniu tyłu prac, król mianował go kawalerem swoich orderów. Pan de Sérisy miał od dawna Wielki Krzyż Legii Honorowej; miał order Złotego Runa, rosyjski order św. Andrzeja, Orła Pruskiego, wreszcie prawie wszystkie orderdy dworów Europy. Nie było człowieka mniej wysuwającego się naprzód a bardziej użytecznego w świecie politycznym. Można zrozumieć, że zaszczyty, rozgłos, światowe tryumfy, obojętne były człowiekowi tej miary. Ale nikt, z wyjątkiem księży, nie dochodzi do takiego życia bez ważnych pobudek. To zagadkowe postępowanie miało swój sekret, sekret okrutny.

Hrabia kochał się w swej żonie, jeszcze nim ją zaślubił. Ta miłość oparła się wszystkim cichym nieszczęściom małżeństwa z wdową, zawsze panią siebie zarówno przed, jak po drugim

²⁰ *18 Brumaire* – dokonany 9 listopada 1799 r. przez Napoleona Bonaparte zamach stanu, który doprowadził do zajęcia przez niego kluczowej pozycji w strukturze władzy w roli pierwszego konsula i zakończył w istocie okres rewolucji francuskiej, prowadząc do ustanowienia władzy autokratycznej; w kalendarzu i terminologii rewolucyjnej dacie 9 listopada odpowiadał 18 dzień miesiąca Brumaire (tj. „mglistego”). [przypis edytorski]

²¹ *ci-devant* (fr.) – poprzedni, dawny. [przypis edytorski]

²² *Sto Dni* – okres od 1 marca do 22 czerwca 1815 r., w którym Napoleon Bonaparte, uprzednio zmuszony do abdykacji i zesłany na wyspę Elbę, spróbował przy pomocy wiernych sobie wojsk ponownie przejąć władzę we Francji (20 marca dotarł do Paryża); próba ta zakończyła się niepowodzeniem po przegranej bitwie pod Waterloo i cesarz Francuzów ponownie abdykował, a następnie został deportowany na Wyspę Św. Heleny na oceanie Atlantyckim, gdzie zmarł 5 maja 1821 r. [przypis edytorski]

związku. Hrabina cieszyła się o tyle większą swobodą, iż pan de Sérisy miał dla niej pobłażliwość matki dla rozpieszczonego dziecka. Ciągła praca służyła mu za tarczę przeciw zgryzotom serca, pogrzebanym tak starannie jak ludzie polityczni umieją grzebać takie tajemnice. Rozumiał zresztą, jak śmieszną byłaby jego zazdrość w oczach świata, który z trudnością uwierzyłby w namiętną miłość do żony u starego dygnitarza. Jak, od pierwszych dni małżeństwa, dał się opętać żonie? Jak cierpiał, zrazu nie mszcząc się? Jak później nie śmiał się już mścić? Jak pozwalał płynąć czasowi, mamiony nadzieją? Jakimi sposobami kobieta młoda, ładna i inteligentna uczyniła zeń niewolnika? Odpowiedź na wszystkie te pytania, to byłaby długa historia, która zaszkodziłaby przedmiotowi tego opowiadania; zresztą, jeżeli nie mężczyźni, to kobiety potrafią ją odgadnąć. Wspomnijmy wszakże, że olbrzymie prace oraz zgryzoty hrabiego pozbawiły go niestety z konieczności zalet potrzebnych mężczyźnie, aby się oprzeć niebezpiecznym porównaniom. Toteż najokropniejszym z tajemnych nieszczęść hrabiego było to, iż usprawiedliwił odrazę żony chorobą, powstałą jedynie z nadmiernej pracy. Dobry bez granic dla żony, zostawiał jej pełną swobodę: przyjmowała cały Paryż, jeździła na wieś, wracała, zupełnie tak jakby była wdową; on czuwał nad jej majątkiem i dbał o jej zbytek, czyniąc się jakby jej rządcą. Hrabina miała dla męża głęboki szacunek, lubiła jego inteligencję; umiała go uszczęśliwić swym uznaniem; toteż robiła co chciała z biednym człowiekiem, kiedy przysła z nim porozmawiać godzinę. Podobnie jak dawni wielcy panowie, tak hrabia osłaniał żonę w każdej okoliczności: uchybić jej dobrej sławie, znaczyło wyrządzić mu zniewagę nie do przebaczenia. Świat podziwiał wielce ten charakter, a pani de Sérisy niezmiernie wiele zawdzięczała mężowi. Każda inna kobieta, choćby nawet pochodziła z tak dobrej rodziny jak Ronquerolles, mogłaby się zgubić na zawsze. Hrabina była bardzo niewdzięczna, ale niewdzięczna z wdziękiem. Lała od czasu do czasu balsam na rany hrabiego.

Wytłumaczmy teraz przyczynę nagłej podróży i incognita ministra Stanu.

Bogaty rolnik z Beaumont-sur-Oise, nazwiskiem Léger, trzymał dzierżawą folwark, który wrzynał się klinem w ziemię hrabiego i psuł jego wspaniałą posiadłość Presles. Folwark ten należał do mieszczanina z Beaumont-sur-Oise, nazwiskiem Margueron. Kontrakt dzierżawny Legera, zawarty w r. 1799, w chwili, gdy nie można było przewidzieć postępów rolnictwa, niebawem wygasł, a właściciel odrzucił propozycje Legera dotyczące dalszej dzierżawy. Od dawna pan de Sérisy, który pragnął się pozbyć kłopotów i sporów wynikających z enklawy, powziął nadzieję odkupienia tego folwarczku, dowiadując się, że jedyną ambicją pana Margueron była nominacja syna, wówczas prostego poborcy, na naczelnego poborcę podatków w Senlis. Moreau ukazywał swemu panu niebezpiecznego przeciwnika w osobie starego Léger. Dzierżawca, który wiedział, jak drogo mógłby sprzedać po kawałku ten folwark hrabiemu, gotów był wyłożyć tyle gotówki, aby przeważyć pokusę wymarzonej posadki młodego Margueron. Dwa dni wprzód hrabia, pragnąc z tym skończyć, wezwał swego rejenta Aleksandra Crottat i swego adwokata Derville dla szczegółowego zbadania sprawy. Mimo iż Crottat i Derville podali w wątpliwość wierność rządcy, którego alarmujący list spowodował tę naradę, hrabia bronił pana Moreau, który (powiadał) służy mu wiernie od siedemnastu lat.

– Ba – odparł Derville – radzę waszej ekscelencji udać się samemu do Presles i zaprosić tego Margueron na obiad. Crottat pośle tam swego dependenta z gotowym aktem sprzedaży, zostawiając *in blanco*²³ stronicę lub wiersze potrzebne na wyszczególnienie gruntów i należności. Wreszcie niech wasza ekscelencja weźmie ze sobą część należności w postaci czeku, i nie zapomni nominacji syna na poborcę w Beaumont. Jeżeli nie skończymy tego od razu, folwark stracony! Nie zna pan, panie hrabio, chytróści naszych chłopków! Gdy gra idzie między chłopem a dyplomata, dyplomata przegrywa.

Crottat poparł tę radę, której, sądząc ze zwierzeń lokaja udzielonych Pietrkowi, hrabia widocznie usłuchał. W wilię²⁴ hrabia przesłał dyliżansem słówko do rządcy, polecając mu zaprosić na obiad Marguerona, aby zakończyć interes z Moulineaux. Jeszcze przed tą sprawą, hrabia zarządził

²³ *in blanco* – niewypełniony, pusty, niezapisany a. niepodpisany. [przypis edytorski]

²⁴ w wilię (daw.) – w przededniu; dnia poprzedzającego. [przypis edytorski]

odrestaurowanie apartamentów w Presles; od roku pan Grindot, modny architekt, jeździł tam raz na tydzień. Otóż, dobijając kupna, pan de Sérisy chciał równocześnie obejrzeć roboty oraz wygląd nowego umeblowania. Spodziewał się zrobić niespodziankę żonie, przywożąc ją do Presles i pokładał swą ambicję w odnowieniu tego pałacu. Cóż więc takiego zaszło, że hrabia, który w wilię wybierał się jawnie do Presles, postanowił się tam udać incognito w Pietrkowym dylizansie?

Tutaj koniecznym jest rzec kilka słów o życiu pana rządcy.

Moreau, administrator dóbr Presles, był synem prowincjonalnego adwokacyny, który został podczas Rewolucji prokuratorem-syndykiem w Wersalu. W tym charakterze stary Moreau ocalił niemal majątek i życie panów de Sérisy ojca i syna. Ten obywatel Moreau należał do stronnictwa Dantona; Robespierre, nieubłagany w swoich nienawiściach, kazał go ścigać, odszukał go w końcu i posłał na szafot w Wersalu. Młody Moreau, spadkobierca zasad i przywiązań ojcowskich, umaczał palce w sprzysiężeniu przeciw Pierwszemu Konsulowi w epoce jego dojścia do władzy. Pan de Sérisy, pragnąc wypłacić się z długu wdzięczności, pozwolił umknąć skazanemu na śmierć; następnie poprosił o jego ułaskawienie w r. 1804, uzyskał je, ofiarował mu najpierw miejsce w swoich biurach, a w końcu wziął go za sekretarza, powierzając mu prowadzenie swoich spraw prywatnych. W jakiś czas po małżeństwie swego protektora, Moreau zakochał się w pannie służącej hrabiny i zaślubił ją. Aby uniknąć fałszywej pozycji, w jakiej go stawiał ten związek, którego niejedyn przykład znalazłby się na dworze cesarskim, poprosił o zarząd dóbr Presles, gdzie żona jego mogła odgrywać damę i gdzie, żyjąc w tym zapadłym kącie, żadne z nich nie było narażone na upokorzenia. Hrabia potrzebował w Presles oddanego człowieka, hrabina bowiem wolała mieszkać w Sérisy, położonym tylko o pięć mil od Paryża. Od trzech czy czterech lat Moreau posiadał klucz do interesów hrabiego; był inteligentny, bo przed Rewolucją studiował prawo w kancelarii ojca; zaczem²⁵ pan de Sérisy powiedział mu:

– Nie zrobisz kariery, skreśliłeś kark zawczasu; ale będziesz szczęśliwy, ja będę myślał o twoim szczęściu.

W istocie, hrabia dał mu tysiąc talarów stałej pensji, ładny domek na końcu zabudowań gospodarskich, dał mu co więcej pewną ilość sągów wyrębu na opał, owies, słomę i siano dla dwóch koni i ordynarię w naturze. Podprefekt nie ma tak pięknych dochodów. Przez pierwszych osiem lat swego rządcostwa, Moreau administrował majątkiem bez zarzutu, zapalił się do niego. Kiedy hrabia zjeżdżał, aby obejrzeć gospodarstwo, zatwierdzać nabytki lub roboty, wówczas, uderzony uczciwością swego rządcy, wyrażał swoje zadowolenie hojnymi gratyfikacjami. Ale kiedy Moreau został ojcem córeczki, swego trzeciego dziecka, obrósł już tak gruntownie we wszelkie wygody w Presles, że zatracił wobec hrabiego de Sérisy poczucie wdzięczności za nie. Toteż, około roku 1816, administrator, który dotąd czerpał z Presles tylko swoje osobiste wygody, przyjął chętnie od handlarza drzewem dwadzieścia pięć tysięcy franków w zamian za doprowadzenie do skutku, z podwyżką zresztą, dzierżawy wyrębu w Presles na przeciąg dwunastu lat. Moreau znalazł argumenty: nie ma emerytury, jest ojcem rodziny, należy mu się ta suma od hrabiego za blisko dziesięć lat gospodarki. Miał już uczciwie zaoszczędzonych sześćdziesiąt tysięcy; gdyby do nich dołączył tę kwotę, mógłby kupić folwark za sto dwadzieścia tysięcy franków na gruncie Champagne, gminy położonej powyżej Isle-Adam na prawym brzegu Oise. Wydarzenia polityczne nie pozwoliły hrabiemu ani sąsiadom zauważyć tej lokaty, dokonanej na imię pani Moreau, która jakoby odziedziczyła fundusz po ciotecznej babce, w swoich stronach, w Saint-Lô. Z chwilą gdy rządca zakosztował rozkosznego owocu własności, postępowanie jego zostało na pozór najuczciwsze w świecie, ale nie stracił już ani jednej sposobności pomnożenia tajemnego majątku. Interes trojga dzieci zagasił ogień jego uczciwości. Mimo to trzeba mu oddać tę sprawiedliwość, że jeżeli przyjmował kubany²⁶, jeżeli myślał o sobie przy każdym kontrakcie, jeżeli posunął swoje prawa aż do nadużycia, wedle litery kodeksu pozostawał uczciwym człowiekiem i żaden dowód nie mógłby usprawiedliwić wniesionego

²⁵ *zaczem* (daw.) – więc, w związku z czym. [przypis edytorski]

²⁶ *kuban* (daw.) – łapówka. [przypis edytorski]

przeciw niemu oskarżenia. W duchu jurysprudencji²⁷ najuczciwszych kucharek w Paryżu, dzielił między hrabiego a siebie zyski swej zręczności. Ten sposób zaokrąglenia swojej fortunki to była jedynie kwestia kazuistyki. Czynny, rozumiejący dobrze interesy hrabiego, Moreau chwycił tym pilnie każdą sposobność korzystnych nabytków, ile że zarabiał zawsze na tym hojną gratyfikację. Presles przynosiło na czysto siedemdziesiąt dwa tysiące franków. Toteż na dziesięć mil wokoło każdy mówił: „Hrabia de Sérisy ma w swoim rządcy drugiego siebie!”.

Jako człowiek ostrożny, Moreau umieszczał, od roku 1817, co rok swoje zyski i dochody w rencie państwowej, zaokrągłając swój skarbczyk w największej tajemnicy. Odrzucał proponowane interesy, powiadając, że nie ma pieniędzy, i tak dobrze grał przed hrabią biedaka, że uzyskał dwa bezpłatne miejsca dla swoich dzieci w kolegium Henryka IV. W tej chwili Moreau posiadał sto dwadzieścia tysięcy franków kapitału w rencie trzyprocentowej, która zmieniła się na pięcioprocentową i podniosła się od tego czasu na osiemdziesiąt. Tych sekretnych sto dwadzieścia tysięcy franków i folwark w Champagne zaokrąglony nabytkami, stanowiły majątek wynoszący jakieś dwieście osiemdziesiąt tysięcy franków, dający szesnaście tysięcy renty.

Takie było położenie rządcy, w chwili gdy hrabia zapragnął kupić folwark Moulineux, którego posiadanie było niezbędne dla jego spokoju. Folwark ten składał się z osiemdziesięciu sześciu kawałków ziemi, okalających, wcinających się, przylegających do Presles, często otoczonych jak kwadrat w szachownicy, nie licząc granicznych płotów i rowów, które dawały powód do nieznośnych sporów z przyczyny lada drzewa do wycięcia, kiedy własność jego była sporna. Każdy inny niż minister Stanu miałby dwadzieścia procesów na rok z powodu Moulineaux. Stary Léger chciał kupić folwark jedynie, aby go odprzedać hrabiemu. Aby tym pewniej dojść do trzydziestu lub czterdziestu tysięcy franków zysku, dzierżawca od dawna próbował się porozumieć z administratorem. Przyparty okolicznościami, na trzy dni przed tą krytyczną sobotą, spotkawszy się z rządcą w polu, Léger wykazał mu jasno, że może skłonić hrabiego de Sérisy do ulokowania pieniędzy na dwa i pół na czysto w dobrej ziemi, to znaczy, jak zawsze, na pozór działać na dobro swego pana, znajdując w tym tajemny zysk czterdziestu tysięcy franków, które otrzyma.

– Dalibóg – rzekł wieczór kładąc się rządcą do żony – jeżeli wycisnę z interesu z Moulineaux pięćdziesiąt tysięcy franków, bo hrabia da mi pewno dziesięć tysięcy, osiadzimy sobie w Isle-Adam w willi Nogent. Ta willa to jest zachwycająca siedziba, zbudowana niegdyś przez księcia de Conti dla pewnej damy: pomyślano o wszelkich wygodach.

– To by mi się dość podobało – odparła żona. – Holender, który tam mieszka, bardzo ją dobrze wyrestaurował i odda nam ją za trzydzieści tysięcy, skoro zmuszony jest wracać do Indii.

– Będziemy o dwa kroki od Champagne – odpowiedział Moreau. – Mam nadzieję kupić za sto tysięcy franków folwark i młyn w Mours. Będziemy mieli w ten sposób dziesięć tysięcy franków renty w ziemi, jedną z najrozkoszniejszych siedzib w tej dolinie, o dwa kroki od naszego majątku, i zostałyby nam blisko sześć tysięcy franków renty w papierach państwowych.

– A dlaczego nie miałbyś się zakreścić o posadę sędziego pokoju w Isle-Adam? Zyskalibyśmy wpływy i tysiąc pięćset franków więcej.

– Ba! Myślałem już o tym.

W tym stanie ducha, dowiadując się, że jego pan ma przybyć do Presles i poleca mu zaprosić Marguerona w sobotę na obiad, Moreau czym prędzej wysłał posłańca, który oddał lokajowi hrabiego list. List przyszedł zbyt późno wieczorem, aby go można było doręczyć hrabiemu; ale Augustyn położył go na biurku, wedle swego zwyczaju w podobnych wypadkach. W liście tym Moreau prosił hrabiego, aby się nie trudził i aby zaufał jego oddaniu. Otóż, wedle niego, Margueron nie chce już sprzedać w całości i mówi o podzieleniu Moulineaux na dziewięćdziesiąt sześć parcel; trzeba mu wybić z głowy ten pomysł, a może (pisał rządcą) uciec się do podstawionego kupca.

²⁷ jurysprudencja – prawoznawstwo. [przypis edytorski]

Każdy ma swoich wrogów. Otóż rządcą i jego żona zrazili sobie w Presles spensjonowanego oficera nazwiskiem de Reybert i jego żonę. Od przycinków doszło do nienawiści i zaciętej walki. Pan de Reybert dyszał zemstą, chciał wysadzić pana Moreau i zostać jego następcą. Te dwie myśli były zrośnięte z sobą. Toteż postępowanie rządcy, szpiegowane przez dwa lata, nie miało dla Reybertów tajemnic. W tym samym czasie, kiedy Moreau wysłał swój list do pana de Sérisy, Reybert posłał żonę do Paryża. Pani de Reybert tak usilnie domagała się rozmowy z hrabią, że odprawiona o dziewiątej wieczór, godzinie, w której hrabia kładł się spać, dostała się doń nazajutrz o siódmej rano.

– Ekscelencjo – oświadczyła ministrowi Stanu – zarówno mój mąż, jak ja niezdolni jesteśmy do pisania anonimów. Jestem pani de Reybert, z domu de Corroy. Mąż mój ma tylko sześćset franków emerytury, mieszkamy w Presles, gdzie pański rządcą robi nam same awanże, mimo że jesteśmy przyzwoici ludzie. Mąż mój, który nie jest żadnym intrygantem (Boże uchovej!), wystąpił ze służby jako kapitan artylerii w r. 1816, przesłużywszy dwadzieścia lat, zawsze z dala od cesarza, panie hrabio! A pan wie, że najlepsi żołnierze, którzy nie znajdują się pod okiem pana, z trudnością awansują; nie licząc, że uczciwość i szczerść Reyberta nie podobała się jego przełożonym. Mój mąż nie przestał przez trzy lata śledzić pańskiego rządcy w zamiarze pozbawienia go posady. Widzi pan hrabia, jesteśmy szczerzy. Moreau doprowadził nas do ostateczności, zaczęliśmy mu patrzeć na ręce. Przybywam tedy, aby panu powiedzieć, że chcą pana wykierować z tym Moulineaux. Chcą panu wydrzeć sto tysięcy franków, które podzielią między siebie rejent, Léger i Moreau. Poleciał pan, aby zaproszono Marguerona, wybiera się pan do Presles jutro; otóż Margueron uda chorego, a Léger tak pewien jest swego folwarczku, że pojechał do Paryża zrealizować walory. Jeżeli panu otworzyliśmy oczy, jeżeli pan chce mieć rządcę uczciwego, weźmie pan mego męża; mimo że szlachcic, będzie panu służył tak jak służył krajowi. Pański intendent ma dwieście pięćdziesiąt tysięcy franków majątku, nie stanie mu się krzywda.

Hrabia podziękował zimno pani de Reybert i zbył ją niczym, gardził bowiem denuncjacją; ale, przypominając sobie podejrzenia Dervilla, uczuł się zachwiany; spostrzegł list swego rządcy, przeczytał; i w zapewnieniach oddania, w pełnych szacunku wymówkach z przyczyny nieufności, której dowodzi owa chęć załatwienia sprawy samemu, wyczytał prawdę o swoim rządcy.

– Zepsucie przyszło z majątkiem, jak zawsze! – powiedział sobie.

Hrabia zadał pani de Reybert parę pytań, nie tyle, aby uzyskać szczegóły, ile aby mieć czas ją obserwować; po czym napisał słówko do swego rejenta, prosząc go, aby mu nie przysyłał do Presles dependentą, ale aby sam przyjechał tam na obiad.

– Jeżeli pan hrabia – rzekła kończąc pani de Reybert – osądził mnie ujemnie z kroku, na który odważyłam się bez wiedzy męża, niech pan hrabia będzie przekonany, że informacje o jego rządcy uzyskaliśmy w sposób najnaturalniejszy w świecie; najdrażliwsze sumienie nie znalazłoby tu nic do zarzucenia.

Pani de Reybert, z domu Corroy, stała wyprostowana jak sztyldwach. Bystre oko hrabiego ujrzało przed sobą twarz podziurawioną jak sito, figurę płaską i suchą, parę oczów płonących i jasnych, loczki blond przylepione do stroskanego czoła, spłowiałą taftową zieloną kapotkę z różową podszewką, białą suknię w fiołkowe groszki, skórkowe trzewiki. Hrabia poznał w niej żonę ubogiego kapitana, jakąś purytankę abonującą „Kuriera Francuskiego”, zajadłą w cnocie, ale łasą na dobrobyt i dybiącą na tłustą posadkę.

– Powiada pani sześćset franków emerytury – rzekł hrabia odpowiadając samemu sobie, zamiast odpowiedzieć na słowa pani de Reybert.

– Tak, panie hrabio.

– Jest pani z domu de Corroy?

– Tak, ekscelencjo, szlachecka rodzina z okolic Messin, skąd pochodzi mój mąż.

– W którym pułku służył pan de Reybert?

– W siódmym pułku artylerii.

– Dobrze – powiedział hrabia – zapisując numer pułku.

Pomyślał, że mógłby powierzyć zarząd majątku dawnemu oficerowi, co do którego łatwo uzyska w ministerium wojny najściślejsze informacje.

– Pani – rzekł, dzwoniąc na kamerdynera – niech pani wraca do Presles z moim rejentem, który postara się tam przybyć na obiad i któremu panią poleciłem: oto adres. Ja sam udaję się potajemnie do Presles i poproszę pana de Reybert na rozmowę.

Tak więc nowina o podróży pana de Sérisy publicznym dyliżansem oraz przestroga, aby zachować w sekrecie jego nazwisko, nie bez kozery zaniepokoiły Pietrka: przeczuwał niebezpieczeństwo wiszące nad głową swego najlepszego klienta.

Wychodząc z kawiarni, Pietrek spostrzegł w bramie pod **Srebrnym Lwem** kobietę i młodego chłopca. Bystre jego oko poznało pasażerów, dama bowiem, z wyciągniętą szyją, z niespokojną twarzą, szukała widocznie woźnicy. Dama ta, ubrana w czarną jedwabną suknię, widocznie farbowaną, w brązowy kapelusz i w stary francuski kaszmir, w bawełnianych pończochach i kozłowych trzewikach, trzymała w ręku płaski pleciony koszyk i niebieski parasol. Kobieta ta, niegdyś piękna, wyglądała na lat niespełna czterdzieści, ale jej błękitne oczy, pozbawione owego płomienia, który zwiastuje szczęście, świadczyły, że od dawna wyrzekła się świata. Toteż strój jej, zarówno jak i wzięcie²⁸ wskazywały matkę całkowicie oddaną gospodarstwu i synowi. Wstążki u kapelusza były spłowiałe, a fason sprzed trzech lat. Szal spięty był złamaną igłą, zmienioną w szpilkę za pomocą gałeczki laku. Nieznajoma oczekiwała niecierpliwie Pietrka, aby mu polecić syna, który zapewne pierwszy raz podróżował sam i którego odprowadziła aż do dyliżansu zarówno przez obawę, co przez miłość matczyną. Syn był poniekąd dopełnieniem matki, tak jak, bez widoku matki, nie rozumiałoby się tak dobrze syna. O ile matka skazywała się na cerowane rękawiczki, syn miał oliwkowy surdut, którego przykrótkie rękawy świadczyły, że jeszcze wyrośnie, jak chłopcy między osiemnastym a dziewiętnastym rokiem. Niebieskie spodnie, naprawione przez matkę, świeciły łąką z nowego materiału, o ile surdut miał tę złośliwość, aby się rozchylić z tyłu.

– Nie kręć tak tych rękawiczek, prędzej je zniszczysz – mówiła w chwili, gdy zjawił się Pietrek. – ...a, to wy, Pietrku – dodała, zostawiając syna na chwilę i odciągając woźnicę o parę kroków.

– Jak się pani powodzi, pani Clapart? – odpowiedział woźnica, którego fizjonomia wyrażała równocześnie szacunek i poufałość.

– Nieźle, Pietrku. Uważajcie dobrze na mego Oskara, pierwszy raz podróżuje sam.

– O, sam jedzie do pana Moreau?... – wykrzyknął woźnica, aby się dowiedzieć, czy młody człowiek tam jedzie istotnie.

– Tak – odparła matka.

– Zatem pani Moreau się zgodziła? – odparł Pietrek z chytrą miną.

– Ach – rzekła matka – nie wszystko będzie tam miłe dla biednego chłopca, ale przyszłość jego wymaga koniecznie tej podróży.

Odpowiedź ta uderzyła Pietrka, który bał się powierzyć pani Clapart swoje obawy o rządcę, tak samo jak ona nie chciała zaszkodzić synowi, dając Pietrkowi pewne zalecenia, które by zmieniły konduktora w mentora. Podczas tego zobopólnego wahania, które się wyraziło paroma zdaniem o drodze, o pogodzie, o stacjach w podróży, nie od rzeczy będzie wyjaśnić węzły, jakie łączyły Pietrka z panią Clapart, usprawiedliwiając tych parę poufnych słów, które wymienili z sobą. Często, to znaczy trzy lub cztery razy na miesiąc, jadąc do Paryża, Pietrek zastawał w La Cave rządcę, który dawał znak ogrodnikowi, widząc nadjeżdżający wehikuł. Ogrodnik pomagał wówczas Pietrkowi załadować jeden lub dwa koszyki pełne owoców lub jarzyn zależnie od pory roku, kurcząt, jaj, masła, zwierzyny. Rządca dawał zawsze Pietrkowi za fatywę, wręczając mu zarazem pieniądze na rogatkę, jeżeli przesyłka zawierała przedmioty podlegające ocłeniu. Nigdy te paczki, te kobiałki, te koszyki, nie miały napisu. Pierwszy raz, który starczył na zawsze, rządca wskazał ustnie mieszkanie pani Clapart dyskretnemu woźnicy, prosząc go, aby nigdy nikomu innemu nie powierzał tej cennej

²⁸ wzięcie (daw.) – sposób zachowania. [przypis edytorski]

przesyłki. Pietrek, rojąc miłośćkę między jakąś śliczną dziewczyną a rządcą, udał się na ulicę de la Cerisaie nr 7, w dzielnicy Arsenau, gdzie, zamiast spodziewanej młodej i pięknej istoty, ujrzał panią Clapart, której oto odmalowaliśmy portret. Woźnice dylizansów powołani są, ze swego zawodu, wchodzić do wielu domów i w wiele tajemnic, że jednak przypadek, ta wice-opatrność, zrządził, iż są bez wykształcenia i wyzuci z daru obserwacji, nie są tym samym niebezpieczni. Jednakże, po kilku miesiącach, Pietrek nie wiedział, jak sobie wytłumaczyć stosunki pani Clapart z panem Moreau, z tego, co mu było danym dojrzeć w domu przy ulicy de la Cerisaie. Mimo iż w owej epoce, w dzielnicy Arsenau czynsze nie były wysokie, pani Clapart mieszkała na trzecim piętrze w dziedzińcu, w domu, który był niegdyś pałacem jakiegoś magnata, w czasie gdy cała arystokracja mieszkała na dawnym terenie pałaców Tournelles i Saint-Paul. Z końcem szesnastego wieku wielkie rodziny dzieliły między siebie te rozległe przestrzenie, niegdyś ogrody naszych królów, jak to wskazują nazwy ulic de la Cerisaie, Beautreillis, des Lions etc. Mieszkancko to, którego wszystkie ubikacje²⁹ zdobne były starożytną boazerią, składało się z trzech pokoi w amfiladzie: jadalni, salonu i sypialni. Nad nimi znajdowała się kuchnia i pokój Oskara. Na wprost drzwi wchodowych były drzwi do izdebki, pomieszczonej na każdym piętrze w przybudówce, która mieściła też drewniane schody i tworzyła czworograniastą wieżę zbudowaną z dużych kamieni. To był pokój pana Moreau, kiedy nocował w Paryżu. W pierwszym pokoju, tam gdzie składał paczki, Pietrek ujrzał sześć orzechowych wyplatanych krzesel, stół, kredens, w oknach liche zrudziałe firaneczki. Kiedy wszedł następnie do salonu, zauważył tam stare meble z epoki cesarstwa, ale podniszczone. Było w tym salonie jedynie tyle sprzętów, ile wymaga gospodarz jako rękojmi czynszu. Z salonu i jadalni osądził Pietrek sypialnię. Boazerie, z gruba pociągnięte czerwoną farbą, która zaciera rzeźby, rysunki, figury, zamiast być ozdobą, zasmucały oko. Niewoskowana nigdy podłoga miała odcień szary, jak podłoga w pensjonatach. Kiedy woźnica zastał państwa Clapart przy stole, talerze, szklanki, najdrobniejsze rzeczy świadczyły o strasznym niedostatku; jedli srebrnymi sztućcami, ale półmiski, waza, były wyszczerbione i odrutowane jak u najbiedniejszych ludzi; budziły litość. Pan Clapart, ubrany w lichą surducinę, obuty w zniszczone pantofle, zawsze w zielonych okularach, odślaniał, skoro zdjął ohydną wysłużoną przez pięć lat czapkę, szpiczastą czaszkę, uwieńczoną skąpymi i brudnymi kosmykami, którym poeta odmówiłby miana włosów. Człowiek ten o wyblakłej cerze wydawał się nieśmiały, a musiał być tyranem. W tym smutnym północnym mieszkaniu, bez innego widoku prócz widoku na wino pnące się po przeciwległym murze oraz na studnię w dziedzińcu, pani Clapart przybierała miny królowej i stąpała jak kobieta, która nie umie chodzić pieszo. Często, dziękując Pietrkowi, obrzucała go spojrzeniem, które rozczuliłoby obserwatora; od czasu do czasu wsuwała mu w rękę kilkanaście groszy. Głos miała uroczy, Pietrek nie znał Oskara, z tej przyczyny, że chłopiec dopiero co opuścił kolegium; nigdy zatem nie spotkał go w domu.

Oto smutna historia, której Pietrek nie byłby nigdy odgadł, nawet zasięgając (jak czynił od jakiegoś czasu) objaśnień u odźwiernej; ta bowiem nie wiedziała nic, chyba tyle, że Clapartowie płacili dwieście pięćdziesiąt franków komornego, mieli tylko jedną służącą na kilka godzin rano, że pani często sama prała od ręki w domu i że opłacała codziennie porto od listów, jak gdyby lękając się, aby nie narosło.

Nie istnieje, lub raczej rzadko istnieje, zbrodniarz, który byłby zupełnym zbrodniarzem. Z tym większą racją, niełatwo spotka się człowieka nieuczciwego w każdym calu. Można przy okazji oszukiwać pryncypała, można starać się wykroić dla siebie pieczyste, ale mało jest ludzi, którzy, ciułając sobie mniej lub więcej dozwolonymi sposobami kapitalik, nie pozwalaliby sobie na jakiś dobry uczynek. Bodaj przez ciekawość, przez próżność, z kaprysu, przypadkiem, każdy człowiek miał swój atak dobroczynności; nazywa go swoją omyłką, nie powtórzy go więcej; ale składa ofiarę Dobru, tak jak największy gbur składa ofiarę Wdziękowi, raz albo dwa razy w życiu. Jeżeli winy pana Moreau dadzą się usprawiedliwić, to może przez tę jego wytrwałość we wspomaganium biednej

²⁹ ubikacja (daw.) – pomieszczenie użytkowe (o dowolnym przeznaczeniu). [przypis edytorski]

kobiety, której łaski pochlebiały mu niegdyś i u której się ukrywał w dobie swoich niebezpieczeństw? Ta kobieta, słynna za Dyrektoriatu przez swoje stosunki z jednym z pięciu królów dnia, wyszła, dzięki temu wszechmocnemu poparciu, za dostawcę, który zrobił miliony i którego Napoleon zrujnował w roku 1802. Ten człowiek, nazwiskiem Husson, oszalał wskutek nagłego przejścia z dostatku do nędzy; rzucił się w Sekwanę, zostawiając piękną panią Husson w ciąży. Moreau, bardzo ściśle związany z panią Husson, był wówczas skazany na śmierć, nie mógł tedy zaślubić wdowy po dostawcy, a nawet na jakiś czas musiał opuścić Francję. W tym smutnym położeniu dwudziestodwuletnia pani Husson wyszła za urzędnika nazwiskiem Clapart, człowieka lat dwudziestu siedmiu, rokującego – jak się to mówi – nadzieje. Niech Bóg strzeże od przystojnych mężczyzn, który rokują nadzieje! W tej epoce urzędnicy rychło dochodzili do wybitnych stanowisk, bo cesarz szukał ludzi zdolnych. Ale Clapart, obdarzony pospolitą urodą, nie posiadał żadnej inteligencji. Myśląc, że pani Husson jest bardzo bogata, udawał wielką miłość do niej; stał się jej ciężarem, nie zadowalając, ani teraz, ani potem, przyzwyczajęń, jakich nabrała w dniach dostatku. Clapart lichy spełniał w ministerium finansów obowiązki, za które pobierał ledwie tysiąc osiemset franków rocznie. Kiedy Moreau, wróciwszy do hrabiego de Sérisy, dowiedział się o okropnym położeniu, w jakim znalazła się pani Husson, zdołał, zanim się sam ożenił, umieścić ją jako pierwszą pannę służącą u **Jejmości**, matki cesarza. Mimo tego potężnego poparcia, Clapart nigdy nie posunął się naprzód; nicość jego zanadto biła w oczy. Zrujnowana w r. 1815 przez upadek cesarza, piękna Aspazja³⁰ Dyrektoriatu została bez innych środków poza miejscem na tysiąc dwieście franków, uzyskanym dla Claparta, dzięki wpływom hrabiego de Sérisy, w urzędzie gminnym Paryża. Moreau, jedyny protektor tej kobiety, którą znał, gdy posiadała kilka milionów, wyrobił dla Oskara Husson stypendium miasta Paryża w kolegium Henryka IV i posyłał przez Pietrka na ulicę de la Cerisaie wszystko, co wypada ofiarować, aby wspomóc dom w ruinie.

Oskar był całą przyszłością, całym życiem matki. Jako jedyną wadę można było zarzucić tej biednej kobiecie przesadną czułość dla tego dziecka, nienawistnego ojczymowi. Na nieszczęście Oskar miał w sobie sporo durnia, czego nie widziała matka, mimo docinków Claparta. Dureństwo to lub, aby rzecz ściślej, ta próżność, zarozumiałość, tak dalece niepokoiły rządcę, iż prosił panią Clapart, aby mu przysłała na miesiąc tego młodzieńca, iżby się mógł w nim rozejrzeć i zbadać, na jaką drogę trzeba by go skierować. Moreau miał zamiar kiedyś przedstawić Oskara hrabiemu jako swego następcę. Ale, aby zachować ścisłą bezstronność, nie będzie może zbyt szczerym stwierdzić źródła głupiej próżności Oskara, zaznaczając, że przyszedł on na świat w domu **jejmości**, matki cesarza. W pierwszej młodości, olśnione jego oczy patrzyły na blaski cesarstwa. Jego wrażliwa wyobraźnia musiała zachować odciski tych oszalamiających scen, zachować odbłask tej epoki złota i festynów, z nadzieją odnalezienia ich w życiu. Wrodzona chętność uczniów, z natury trawionych żądzą błyszczenia i zaćmiewania się wzajem, oparta na tych wspomnieniach dzieciństwa, rozwinęła się ponad miarę. Może i matka zbyt chętnie przypominała sobie w domu dni, w których była jedną z królowych Paryża z epoki Dyrektoriatu. Wreszcie Oskar, który właśnie ukończył szkoły, musiał może w kolegium bronić się przed upokorzeniami, jakimi **płacący** gnębią przy każdej okazji stypendystów, o ile stypendysta nie umie wdrożyć im pewnego szacunku siłą fizyczną. To pomieszanie dawnego zgasłego blasku, minionej piękności, czułości znoszącej nędzę, nadziei pokładanych w tym synu, macierzyńskiego zaślepienia, heroicznie dźwiganych cierpień, czyniło z tej matki jedną z owych wzniosłych postaci, które w Paryżu ściągają oko obserwatora.

Niezdolny odgadnąć głębokiego przywiązania pana Moreau do tej kobiety, ani też przywiązania tej kobiety do swego protegowanego z roku 1797, Pietrek nie kwapił się z nią podzielić podejrzeniem, jakie mu świeciło w głowie co do niebezpieczeństw grozących panu Moreau. Straszliwe słowa lokaja:

³⁰ *Aspazja* (ok. 470 – ok. 400 p.n.e.) – pochodząca z Miletu kochanka a. żona ateńskiego polityka i męża stanu, Peryklesa; zajmowała pozycję niezwykłą dla kobiet swego czasu (z wyjątkiem heter), interesowała się sprawami publicznymi, mogła wywierać wpływ na Peryklesa i politykę Aten; wzmiankowana na kartach dzieł Platona, Arystofanesa, Ksenofonta i in. [przypis edytorski]

„Dosyć mamy roboty z tym, aby myśleć o sobie!” przysły na myśl woźnicy, jak również poczucie subordynacji wobec tych, których nazywał **starszyzną**. Zresztą w tej chwili Pietrek czuł w głowie tyleż igieł, ile jest pięciofrankówek w tysiącu franków!

Siedmiomilowa droga rysowała się zapewne jako długa podróż w wyobraźni biednej matki, która w epoce swej świetności rzadko puszczała się za rogatki; słowa bowiem: „Dobrze, proszę pani! – tak, proszę pani!”, powtarzane przez Pietrka, okazywały dostatecznie, że woźnica pragnie sobie oszczędzić zaleceń najoczywiściej zbyt gadatliwych i bezużytecznych.

– Umieści pan paczki tak, aby nie zamokły, gdyby przypadkiem zaczęło padać.

– Mam płachtę – odparł Pietrek. – Zresztą, o, widzi pani, jak troskliwie się ładuje?

– Oskarze, nie zostawaj tam dłużej niż dwa tygodnie, choćby cię zapraszano – dodała pani Clapart, wracając do syna. – Co bądź byś czynił, nie pozyskasz łask pani Moreau; zresztą musisz być z powrotem z końcem września. Wiesz, że mamy jechać do Belleville, do wuja Cardot.

– Tak, mam.

– Zwłaszcza – dodała po cichu – nie mów nigdy nic o służbie... Pamiętaj wciąż, że pani Moreau była pokojówką...

– Tak, mam...

Oskar, jak wszyscy młodzi ludzie o nadmiernie rozwiniętej miłości własnej, zdawał się nierad z tych napomnień udzielanych w progu **Srebrnego Lwa**.

– Zatem do widzenia, mam; jedziemy, już zaprzężono.

Matka, zapominając, że się znajduje na ulicy, uściskała swego Oskara i rzekła, wyjmując z koszyka ładną bułeczkę:

– O, byłbyś zapomniał swojej bułki i czekolady! Powtarzam ci, nie jedz nic po gospodach, każą tam płacić za najmniejszą rzecz dziesięć razy tyle, co jest warta.

Oskar byłby rad, aby matka była daleko, kiedy mu pakowała bułkę i czekoladę do kieszeni. Scena ta miała dwóch świadków, młodych ludzi o kilka lat starszych od świeżo upieczonego maturzysty, lepiej ubranych od niego, przybyłych bez matki; chód ich, ubiór, wzięcie zdradzały ową zupełną niezawisłość, przedmiot wszystkich pragnień dziecka jeszcze pod jarzmem matczynym. Ci dwaj młodzi ludzie byli w tej chwili dla Oskara całym światem.

– On mówi **mamo** – wykrzyknął jeden z nieznanym, śmiejąc się.

Wykrzyk ten doszedł uszu Oskara i spowodował oschłe: „Żegnaj cię, matko”, któremu towarzyszył straszliwy odruch zniecierpliwienia.

Przynajmy to: pani Clapart mówiła trochę za głośno i zdawała się brać przechodniów za świadków swej czułości.

– Co tobie, Oskarze? – rzekła biedna matka dotknięta. – Nie rozumiem cię – dodała surowiej, sądząc że jest zdolna (omyłka wszystkich matek, które psują swoje dzieci) nakazać mu szacunek. – Słuchaj, Oskarze – dodała natychmiast, przechodząc do tkliwości – ty masz skłonność do gadulstwa, do mówienia wszystkiego, co wiesz i czego nie wiesz, dla popisu, przez głupią dziecinną próżność; powtarzam ci, staraj się trzymać język za zębami. Nie znasz jeszcze na tyle życia, mój drogi skarbie, aby ocenić ludzi, z którymi się spotkasz, a nie ma niebezpieczniejszej rzeczy niż rozmawiać w publicznym wehikule. Zresztą w dylizansie ludzie dystyngowani zachowują milczenie.

Dwaj młodzi ludzie, którzy zapewne przeszli w głąb gospody, zaszurali w bramie butami; mogli słyszeć to kazanie; toteż, aby się pozbyć matki, Oskar uciekł się do heroicznego środka, który dowodzi, jak bardzo miłość własna pobudza inteligencję.

– Mam – rzekł – stoisz na przeciągu, możesz dostać fluksji, zresztą ja już siadam.

Chłopiec musiał trafić w słaby punkt, bo matka chwyciła go, uściskała tak jakby chodziło o zamorską podróż i odprowadziła ze łzami w oczach do kabrioletu.

– Nie zapomnij dać pięć franków służbie – rzekła. – Napisz do mnie przynajmniej trzy razy przez te dwa tygodnie. Zachowuj się dobrze i pamiętaj o moich przestrojach. Masz dosyć bielizny,

aby nie musieć dawać do prania. Wreszcie, pamiętaj wciąż o dobroci pana Moreau, słuchaj go jak ojca i trzymaj się jego rad...

Wsiadając do dylizansu, Oskar ukazał swoje niebieskie pończochy ruchem, który podciągnął spodnie jego w górę, oraz nową łątę w spodniach między rozchylonymi połami surduta. Uśmiech młodych ludzi, których wzroku nie uszły te oznaki uczciwego ubóstwa, zadał nową ranę miłości własnej młodzieńca.

– Oskar zatrzymał pierwsze miejsce – rzekła matka do Pietrka. – Siadaj na tylnym siedzeniu – dodała, patrząc wciąż na Oskara z czułością i uśmiechając się doń tkliwie.

Och! Jakże Oskar żałował, że nieszczęścia i zgryzoty skaziły piękność jego matki, że nędza i zaparcie się siebie nie pozwoliły jej dobrze ubierać! Jeden z młodych ludzi, ten który miał buty i ostrogi, trącił drugiego łokciem, aby mu pokazać matkę Oskara, tamten zaś podkręcił wąsą gestem, który znaczył: „Ładna figurka!”.

„Jak pozbyć się matki?” – myślał Oskar nachmurzony.

– Co tobie? – spytała pani Clapart.

Oskar udał, że nie słyszy. Potwór! Może w tych okolicznościach pani Clapart zbywało taktu. Ale bezgraniczne uczucia są takie samolubne!

– Jerzy, czy ty lubisz dzieci w podróży? – spytał młody człowiek swego przyjaciela.

– Owszem, gdy są odłączone, noszą imię Oskar i mają czekoladę, mój drogi Amaury.

Te dwa zdania wymieniono półgłosem, pozwalając Oskarowi słyszeć albo nie słyszeć; zachowanie jego miało dać podróżnemu miarę tego, co może sobie pozwolić z dzieckiem, aby się rozerwać w drodze. Oskar wołał nie słyszeć. Rozglądał się dokoła, aby zobaczyć, czy matka, która ciążyła nad nim jak koszmar, jest jeszcze, wiedział bowiem, że go zanadto kocha, aby go tak rychło opuścić. Nie tylko porównywał mimo woli strój towarzysza podróży ze swoim, ale jeszcze czuł, że strój jego matki odgrywa znaczną rolę w drwiącym uśmiechu młodych ludzi.

„Gdybyż oni stąd poszli!” – powiadał sobie.

Niestety! Amaury rzekł do Jerzego, trącając laską w koła kabrioletu:

– I ty powierzysz przyszłość tej kruchej barce?

– Tak trzeba! – rzekł Jerzy fatalistycznym tonem.

Oskar westchnął, widząc kapelusz nieznanego junacko nasadzony na ucho, jak gdyby po to, aby pokazać wspaniałe, pięknie ufryzowane włosy blond, gdy on, z rozkazu ojczyma, włosy miał ostrzyżone na jeża, krótkie jak u rekruta. Próżny dzieciak miał twarz okrągłą i pyzată, błyszczącą rumieńcem zdrowia, gdy twarz towarzysza podróży była ściągła, delikatna i blada, czoło wydatne, a pierś obleczona w kaszmirową kamizelkę. Oskar podziwiał obcisłe spodnie stalowego koloru, surdut szamerowany i ściśnięty w talii; miał uczucie, że ten romantyczny pasażer, obdarzony tyloma przewagami, nadużywa wobec niego swej wyższości, tak jak kobietę brzydką uraza sam widok ładnej. Hałas podkutych butów, którymi nieznanomy dzwonił, zdaniem Oskara trochę zanadto, rozlegał mu się aż w sercu. Wreszcie Oskar był równie nieswój w swoim ubraniu zrobionym może w domu i skrojonym ze starego garnituru ojczyma, jak ten szczęśliwy chłopiec czuł się swobodnie w swoim.

„Ten chłopak musi mieć jakieś kilkadziesiąt franków w sakiewce” – pomyślał Oskar.

Młody człowiek odwrócił się. Cóż się stało z Oskarem, kiedy ujrzał złoty łańcuszek, na którym wisiał zapewne złoty zegarek! Nieznajomy nabrał wówczas w oczach Oskara rozmiarów wybitnej osobistości.

Wychowany przy ulicy de la Cerisaie od roku 1815, przyprowadzany do domu i odprowadzany do kolegium w wolne dni przez ojczyma, Oskar nie miał, od chwili dojścia do wieku młodzieńczego, innych punktów porównania, jak tylko ubogie gospodarstwo matczyne. Trzymany krótko, w myśl rad pana Moreau, rzadko bywał w teatrze i nie wzniósł się jeszcze ponad **Ambigu-Comique**, gdzie oczy jego nie widziały zbyt wielkich świetności, o ile w ogóle uwaga, z jaką dziecko pochłania melodramat, pozwoliła mu rozglądać się po sali. Ojczym jego nosił jeszcze, modą cesarstwa, zegarek w kieszonce od spodni, a na żołądku dyndał mu gruby złoty łańcuszek, zakończony pękiem breloków,

pieczętek oraz kluczykiem z płaską i okrągłą główką, w której można było oglądać mozaikowy pejzaż. Oskar, który uważał ten staroświecki zbytek za ostatni wyraz wykwinu, osłupiał tedy na widok subtelnej i niedbałej elegancji. Młody człowiek ostentacyjnie pokazywał świeże rękawiczki, i chciał wyraźnie olśnić Oskara, obracając z wdziękiem wykwinną laseczkę ze złotą gałką. Oskar dochodził do tej ostatniej kwadry młodości, w której małe rzeczy tworzą wielkie radości i wielkie cierpienia, gdzie woli się nieszczęście od śmiesznej toalety, gdzie miłość własna, nie mogąc się czepić wielkich spraw życia, czepia się błahostek, stroju, chęci uchodzenia za mężczyznę. Człowiek wspina się wówczas na szczudła a próżność jest tym bardziej rażąca, iż objawia się w drobiazgach; ale, o ile taki młokos zazdrości ładnie ubranemu durniowi, entuzjazmuje się także dla talentu, podziwia genialnego człowieka. Te wady, kiedy mają źródło w sercu, świadczą o bujności soków, o zbytku wyobraźni. Że dziewiętnastoletni chłopiec, chowany surowo w domu rodzicielskim, w niedostatku dławiącym urzędniczynę o tysiąc dwustu frankach pensji, ale uwielbiany i psuty przez matkę, staje olśniony na widok dwudziestodwuletniego młodzieńca, zazdroszcząc mu szamerowanej czamarki na jedwabiu, kamizelki z fałszywego kaszmiru i krawata z pierścionkiem w złym guście, czyż to nie są grzeszki powtarzające się na wszystkich szczeblach społeczeństwa; niższy, który zazdrości stojącemu wyżej? Nawet człowiek genialny ulega tej pierwszej namiętności. Czyż genewczyk Rousseau nie zazdrościł Wenturze i Baclowi³¹? Ale Oskar przeszedł od słabostki do błędu, uczuł się upokorzony, poczuł żal do swego towarzysza podróży, w sercu jego zbudziła się tajemna żądza dowiedzenia mu, że nie jest gorszy od niego. Dwaj lalusie przechadzali się wciąż od bramy do stajen, od stajen do bramy, dochodząc aż do ulicy; kiedy się zaś obracali, za każdym razem przyglądali się Oskarowi, przycupniętemu w kącie. Oskar, przekonany, że te śmieszki młodych ludzi tyczą jego, udał głęboką obojętność. Zaczął nucić piosenkę spopularyzowaną wówczas przez liberałów, ze słowami: **To wina Woltera, to wina jest Russa**

³¹ Rousseau nie zazdrościł Wenturze i Baclowi – por. *Wyznania* Russa. [przypis tłumacza]

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.